

Alkohol szkodzi

Obudziłem się ze zwykłym, banalnym kociokwikiem. W oknie wisało wymiętoszone szare niebo. Na wytapetowanych ścianach drzemały ordynarne oleodruki w złożonych ramkach. Podniosłem głowę. Nade mną rozpościerał ramiona anioł w buraczkowej szacie. Mlasnąłem obrzmiałym językiem i z trudnością obróciłem się w pachnących krochmalem czystych betach szwabskich. Ktoś przeszedł cicho za drzwiami i skrzypnęły jakieś ostrożnie zamykane drzwi. Wiktor stęknął żałośnie na swoim łóżku i zaraz otworzył oczy. Zobaczywszy, że nie śpię, skrzywił się i podniósł rękę do czoła.

– Edek, która to godzina? – Spojrzałem na zegarek, leżący przy łóżku na krześle. Żółta wskazóweczka sekundnika podrygiwała pracowicie.

– Psia krew, już po dziesiątej.

Wiktor zaskrzyphiał łóżkiem.

– Ale się szwabka wystraszyła, jakeśmy zalani wrócili. Zaraz zamknęła się w swoim pokoju. Boi się o swoją cnotę – zaśmiał się krzywo.

Przymknąłem oczy i leżałem chwilę, ciężko przetykając ślinę, która gromadziła się obficie w ustach. Potem otworzyłem oczy i szukałem ulgi w czystych błyskach kryształowej wazy stojącej na pseudozabytkowej konsolce.

– Chce mi się pić – powiedział Wiktor.

– I mnie też – ucieszyłem się. – Przynies jednocześnie i dla mnie wody.

Wiktor zlął w kalesonach z łóżka i, chwiejąc się, podszedł do umywalki. Spojrzał w lustro i pomacał po opuchniętej twarzy.

– Trochę za dużo wypiliśmy – mruknął niechętnie.

– No cóż, trzeba popierać nasz młody monopol – odpowiedziałem filozoficznie i niefrasobliwie.

Wiktor zaklął i nalał z białego dzbanka z fioletowymi różyczkami wody do szklanki. Potem trzęsącą się ręką podsunął mi szklankę. Ująłem wilgotne naczynie i piłem łąpczywie. Na ulicy pobekiwały auta.

– Wiesz, nie podoba mi się ten twój szofer – powiedziałem, ocierając brzegiem kołdry mokre usta.

Wiktor podniósł brwi:

– Dlaczego zaraz mój, czy ja go zrobiłem?

– Wygląda mi na durnia.

Szyby zaczęły cicho pobrzękiwać i rysować się warkoczykami ściekającej wody. Mżył deszcz.

Ziewnąłem z rozpaczą:

– Trzeba chyba wstawać.

Wiktor wzdrygnął się i otulił szczerze kołdrą.

– Eee, jeszcze chwilkę poleżmy.

Zacząłem się przyglądać wyblaktemu zdjęciu wiszącemu nad nogami mego łóżka. Wąsaty gość, przepasany i w niezgrabnej rogatywce, opierał się o bambusowy stolik. Malowana dekoracja za nim przedstawiała kawałeczek jakiegoś zamku. Na poprzeciny poziomymi kreskami (fał) stawie sterczały dwa niesamowite łabędzie.

– To zdaje się jej mąż – pokazałem brodą Wiktorowi fotografię. Przyglądał się chwilę, a potem powiedział:

– Widzisz, cholera, był powstańcem śląskim.

– Et, oni teraz wszyscy powstańcy. Ciekawym, skąd ona wyrwała tę fotografię.

– Opowiadała, że go zatłukli Niemcy w więzieniu.

– Tak, a potem przyjęła folkslistę – zaśmiałem się drwiąco.

Milczeliśmy chwilę, a deszcz poszczykiwał szybami.

Otworzyły się jakieś drzwi, potem ostrożny tupot stóp. Ktoś zapukał.

– Wejść – ryknął Wiktor.

Na progu stanęła nasza gospodyni. Gładkie siwe włosy szukały schronienia w melancholijnym koku.

– Czy czego nie trzeba? – zapytała ostrożnie i z trudnością.

– Nie – warknął Wiktor.

– Może herbaty?

– Nie, powiedziałem! – Wiktor uniósł się na łokciach.

Drzwi stuknęły sposzone, a Wiktor spadł na poduszkę. Potem wsadził palec do nosa.

– Widzisz ją, jaka troskliwa.

Za oknem przejaśniło się i kryształowa waza zagrała ostrym światłem. Na fotografii za wąsatym powstańcem wyszły z cienia anemiczne drzewa.

– No Wiktor, wstajemy – zadecydowałem. – Trzeba przecież załatwić z tymi oponami.

Ubieraliśmy się powoli. Myć się nam nie chciało, spryskaliśmy tylko trochę twarze. Wiktor przystrzygł swoje angielskie wąsiki.

– Mógłbyś je raz zgolić. Wyglądasz jak tyłek z wąsem – powiedziałem krytycznie.

– Nie mogę – przymrużył rzewnie oczy. – W lesie jeszcze sobie ślubowałem nosić zawsze wąsy. Pamiętkowe.

Śmiałem się, a Wiktor obgryzał paznokcie. Za szybą łysnął błękit, wypogadzało się. Oleodruki niepokoiły się na szarych ścianach. Musieliśmy się śpieszyć.

Kiedy zatrasnęliśmy za sobą drzwi wejściowe, odwróciłem się i pochyliłem nad mo-sięzną tabliczką.

– Skowronek się nazywa, psia krew – pokazałem gotycki napis.

– Przecież na nakazie kwaternkowym masz też jej nazwisko.

Schodziliśmy, milcząc, po ciemnych schodach. Na ulicy było chłodno. Zbliżała się jesień i rdza zaczynała nadgryzać wierzchołki drzew. Trotuary były mokre, a rynsztokami spływały strugi brunatnej wody unoszące pierwsze opadłe liście. Oczernione sadzami

dymów fabrycznych brzydkie mieszczańskie kamienice niemieckie tłoczyły się przy głównej ulicy tego fabrycznego miasteczka.

Podniosłem głowę. Pod sztywnym błękitem płynęły białe jesienne obłoki.

– Tylko czy się da zrobić z tymi oponami? – zatroskałem się. – To by przyniosło dobrych kilkadziesiąt kawałków. W Łodzi teraz nigdzie nie dostaniesz gum.

– Dlaczego nie ma się zrobić. Zenon mówił, że to swój gość i że od niego wszystko zależy. Żebyśmy go tylko w starostwie przyłapali.

Z bocznej ulicy dmuchnęło wilgotnym wiatrem. Podniosłem kołnierz palta i ostrożnie omijałem jaskrawe kałuże w załamach potrzaskanych płyt chodnika. Okna wystawowe były przeważnie pozabijane deskami. Na niektórych pstrzyły się karteczki opatrzone pieczęciami: „Decyzją Wydziału Apropowizacji i Handlu przydziela się ob. ... lokal handlowy...”. Gdzieś tam myto już okna wystawowe i ustawiano artykuły sprzedażne. Przeważnie spożywcze. Więcej było barów i restauracji. Te powstały razem z pierwszymi komórkami władzy państwowej.

– Ty, widzisz wariatów – trącił mnie Wiktor i pokazał palcem narożny dom osłonięty jasnymi rusztowaniami.

Z daleka słychać było stukot młotków. Murarze odnawiali wnętrza, a stolarze wstawiali złote ramy do czarnych oczodołów wypalonych okien.

Zaśmieliśmy się radośnie.

– Trzeba być jednak wariatem, żeby zabierać się do wypalonych domów, jeśli jest jeszcze tyle szwabskich całych. Zresztą nie optaca się wcale inwestować tu forsy. Zdaje się, że my lepszą robotę robimy. Lepiej zabezpieczamy trofea wojenne – powiedziałem.

Naprzeciw nam szedł oddział żołnierzy sowieckich. Ciężko tupali rozmokłymi butami i śpiewali jakąś monotonną piosenkę. Powyginane od wybuchów latarnie stały omotane drutami telefonicznymi. Na dalekim dworcu pohukiwały lokomotywy.

W czarnej kamienicy jaśniały całe i czyste szyby wystawowe. Nie było jeszcze szklidów, ale tuż za oknem widniały już wystawione obrazy. Salon sztuki. Wiktor zaśmiał się. Ja jednak przystanęm.

Parę nieciekawych obrazów, prawdopodobnie niemieckich malarzy, dwa gobeliny i japoński serwis do kawy. Zatrzymałem się jak przed rzewnym wspomnieniem dawnych głupich lat. Przed wojną chodziłem na sztuki piękne i podobno nieźle malowałem. Siwy profesor stawał przed moimi sztalugami, poświstywał fałszywie jakąś swoją melodię i wodził palcem po nieogolonej szczecinie twarzy. Potem skrzypiał malutkimi butkami i wsuwał do rękawów czarnej marynarki wystrzępione mankiety. Patrzył jeszcze chwilę i mruzczał: – nieźle. Korygował mnie rzadko. Chodziłem wtedy po ulicach miasta napełniony wzniosłymi chęciami budowania lepszego świata. Przystawałem pod kasztanami Cieleńnika i poprawiałem długie zaniedbane włosy pod brązowym beretem. Wtedy też poznałem Józefę, której jedynym cieniem było tylko imię. Józefa.

Oparłem się o blaszaną poręcz i zaglądnąłem głębiej do sklepu. Sprzedawca oparty na ladzie pił herbatę. Bułeczki leżały na jakimś płótnie, które czekało ram.

Podczas wojny sztalugi wyniosłem sam na podwórze i pożyczoną siekierą poszczypałem na podpałkę do pieca. Moje płótna i niedokończone szkice teściowa owinęła w rulon, przewiązała grubym papierowym sznurem i zaniosła na strych. Zacząłem pracować na kolei przy wymienianiu przegniłych podkładów.

Zaśmiałem się głośno i siąknąłem nosem.

– No już dość podziwiania sztuki – zaoponował Wiktor. W międzyczasie zapalił papierosa i stał teraz w smugach dymu, śmieszny w swoim amerykańskim kapeluszu i jasnej, eleganckiej jesionce.

Dotknąłem dłonią szyby. Była zimna i wilgotna.

– Więc idźmy – zadecydowałem.

Starostwo było niedaleko. Półcywilny wartownik siedział znudzony na krzeselku i bawił się celownikiem karabinu.

– Do kogo? – zapytał.

– Do pana naczelnika Krawczyka, panie kolego – poinformowałem go chętnie.

Pokazał obdrapane drzwi.

Sekretarka dowiedziawszy się, że w sprawie prywatnej, zaszczebiotła coś przez półotwarte drzwi do gabinetu pana naczelnika Krawczyka. Potem zaprosiła do środka. Naczelnik Krawczyk, chudy i łysy jegomość, podał nam rękę i poprosił siąść.

Wiktor zaczął referować sprawę. Że pan kierownik Zenon Zawilski skierował nas tu, że pan naczelnik Krawczyk mógłby nam ułatwić, tylko ułatwić, nabycie większej ilości opon. Że z przewozem nie będzie trudności, bo papiery mamy w porządku.

Naczelnik Krawczyk denerwował się. Patrzył niespokojnie na drzwi sekretariatu i nerwowo przekładał papiery na swoim olbrzymim biurku. Czuję, że interes się nam nie uda.

Kiedy Wiktor skończył, naczelnik rozpiął marynarkę i powiedział:

– Pan się chyba pomylił, ja jestem urzędnikiem państwowym, ja nie mam opon na sprzedanie – ostatnie słowa, wypowiedziane podniesionym i cienkim głosem, cichły pod urzędowym orłem.

– Panie naczelniku – wdzięczył się Wiktor – tu chodzi tylko o ułatwienie, tylko o ułatwienie. Nam nie idzie o cenę. Każdą sumę jesteśmy gotowi... – przeciągnął konfidenoidalnie i ciepło.

Naczelnik Krawczyk podniósł się purpurowy.

– Ja panów bardzo przepraszam – zaczął patetycznie.

– Srał pana pies – zerwałem się wściekły – i tak to ktoś sprzątnie. Mógłbyś pan zrobić.

Skonsternowany Wiktor podniósł się też. Nie skinąwszy nawet głową, wyszliśmy do sekretariatu. Schludnie ubrany interesant poderwał się z krzesła pod oknem. Sekretarka pielęgnowała paznokcie.

– Do widzenia – powiedział Wiktor, a na schodach mruknąłem:

– Szpagatowa inteligencja, psia krew.

Na dole wartownik drzemał dalej ze swoim karabinem. Przed drzwiami terkotał motocykl.

– Czołem, panie kolego – powiedziałem.

Wartownik zasalutował na siedząco.

Słońce staniało się nad wyrudziały dachami. Spóźniony gniew powracał co chwila, tak że miałem ochotę wrócić i obić mordę świątobliwego urzędnika. Było już chyba południe. Wyszarżali sprzedawcy uliczni chuchali przed siebie i przyglądali się wątlmy obłoczkom topiącym się w rzadkim powietrzu jesiennym. W potamanych walizkach leżały krążki kiełbas, białe nagie kawałki słoniny i pudełka papierosów. Ulicami przejeżdżały ręczne wózki wyładowane gratami, popychane przez ludzi o zaniepokojonych i sprytnych oczkach. Taki nędzny szaber wzbudzał we mnie litość.

– Ale ten twój Zenon urządził nas.

– Ba, on chciał nam pomóc, kto mógł wiedzieć, że ten Krawczyk to taka żyła.

Podskubane wróbelki, takie same jak w Łodzi, ucztowały na niesprzątniętych kupkach końskiego nawozu.

– Błyszcząca inteligencja w potarganych kalesonach – złościłem się.

– Nie wyrzekaj, Edek, te osiem skrzyń łożysk kulkowych opłaci nam tę wyprawę z dobrym naddatkiem.

– Tak, tylko żeby się to nie skończyło tak, jak z tym Krawczykiem.

– Neeee, już je szofer załadował.

Zachciało mi się nagle jeść. Zatrzymałem się pod odartym z kory drzewem i zdjęłem kapelusz.

– Wiktor, trzeba by zjeść śniadanie.

– Chyba – zgodził się bez przekonania.

Omiotłem wzrokiem rząd krzywych domów. Z żółtej kamieniczki sterczała deska z napisem „Bar pod Orłem”. Tam skierowaliśmy swe kroki. Oszklone drzwi zagrały szybami, a pomięci kelnerzy poderwali się ochoczo:

– Moje uszanowanie panom mecenasom.

Było już popołudnie. Mogliśmy wyjeżdżać. Szofer Mietek wyszykował wóz i, podniósłszy brezent, pokazał skrzynki z łożyskami. Zaśmiał się szeroko i powiedział do Wiktora:

– Wszystko w porządku, proszę pana.

Wiktor bez uśmiechu ujął go za ramię:

– Panie Mietku, nie będzie pan żałował tej jazdy.

Mietka z autem wypożyczył Wiktor od brata, który był jakąś grubą rybą w którejś tam instytucji spółdzielczej. Mietek mi się nie podobał.

Ruszyliśmy na kwaterę po rzeczy. Ulicami wracali górnicy z kopalni. Szli przygarbieni w czarnych, pokrytych węglowym pyłem ubraniach, z torbami kolebiącymi się na biodrach. Pogadywali w śląska, obco, o swoich sprawach i spoglądali na nas niewidzącymi oczyma, kiedy podciągając nogawki spodni, przeskakiwali błękitne kałuże. Nie lubiłem widoku ich zmęczonych sylwetek: przypominały mi lata wojny. A pracy nie lubiłem nigdy. Kiedyś myślałem, że wykręcę się od niej sztucznym, artystowskim trybem życia.

Teraz śmiałem się z tych mrzonek i wiedziałem jedno: żeby nie pracować, trzeba mieć pieniądze.

W Łodzi, w domu, czekała Józefa, której z dawnych powabów zostało tylko imię. Józefa. Żeby odzyskać wolność, trzeba zapłacić za głupotę sprzed wielu lat. Trzeba mieć pieniądze. Ba, rozwód.

Uczepione słupa chybotają zapóźnione pasemko babiego lata. Takie głupie i niepotrzebne tutaj. Zwróciłem na nie uwagę przez sentymentalną pobłażliwość dla nierealnej przeszłości. A ono uczepiło się mego kapelusza (*Hüffel*) i łaskotało po nieogolonym policzku.

Wiktor był w dobrym humorze. Pogwizdywał jakieś tam swoje leśne historie i mrużył zawiadacko oczy do bladego słońca. Dymy stały się nad dachami, a na dalekim dworcu pohukiwały lokomotywy.

Prędko doszliśmy do znajomego domu. Przeskakując przez porozrzucane cegły, weszliśmy do bramy. Schody znów skrzypiały, a od dołu szła trupia wilgoć.

– Tu jeszcze musi być dużo trupów po piwnicach – zamyślił się Wiktor, a ja filozoficznie pociągnąłem nosem:

– Zrobili Niemców na szaro.

Dotknąłem palcem znajomej mosiężnej tabliczki „Skowronek”. Patrzyłem chwilę, jak matowy ślad palca gaś długo na niej. Potem nacisnąłem dzwonek.

Otworzyła jak zawsze schludna, grzeczna i z ulizanymi siwymi włosami. Milcząc, przeszliśmy przez przedpokój i zamknęliśmy starannie drzwi za sobą. Oleodruki przycichły w lekkim przedmroku, a cienie wydobywały z wąsatej twarzy powstańca grymas dobrodusznego półuśmiechu. Fajansowy dzbanek z fioletowymi różyczkami przeglądał się w zmatowiałym lustrze. Kryształowa waza mżyła dobrym, ciepłym światłem.

Przeciwnąłem się, aż trzasnęło mi w plecach.

– No, Wiktor, trzeba zbierać graty.

Wiktor zaczął związać koc, a ja złożyłem ręcznik i schowałem mydło. Przelotnie mignęła mi w lustrze nieogolona, ironiczna twarz.

Zebrało mi się na intymność.

– Wiktor, jak ci się żyje z Lusią?

Uniósł brwi zdziwiony, a potem przestraszył mnie pustym oczodołem otwartych w uśmiechu ust. Zęby stracił podczas wojny.

– Żeby dobrze żyć z żoną, trzeba ją umiejętnie i systematycznie zdradzać.

Zwierzyłem mu się zaraz z zamiaru rozwodu. Ale natychmiast mnie zawstydził.

– Rozwodzą się tylko ludzie uczciwi – powiedział z przekonaniem i trzasnął zamkami nowej skórzanej teczki, która go kosztowała sześć tysięcy złotych.

Na starej konsolce lśniąca różowym światłem kryształowa waza.

Wiktor poszedł zapłacić gospodyni za noclegi. Przystałem na chwilę przy łózku i ogryzałem paznokcie. Drzewa dziwnie, bo bez szelestu, ocierały się o okna. Ciężko powstańcowi nogi i wisiał teraz wąsacz w rogatywce w czarnym powietrzu fotografii niczym sztukmistrz cyrkowy. Jakiś zabłąkany czerwony promyk usiadł na szarym suficie.

Pachniało zapałą wodą i krochmalonymi betami.

Potem otwary się drzwi w przedpokoju i słyszałem przekonujący głos Wiktora. Gospodyni powtarzała: – ja, ja. Czerwony promyk opadł na róg ramki oleodruku przedstawiającego rozneglizowane pulchne panny zabawiające się z małym fertycznym amorkiem.

Wiktor wrócił, śmiejąc się. Nakładał pieczołowicie płaszcz, przymierzał przed lustrem swój amerykański kapeluszyk i troskał się o nieświeży wygląd nieogolonych policzków. Potem pstryknął filuternie przed wężami zdumionego powstańca i wziął ze stołu teczkę.

Wstałem i podszedłem do konsolki. Waza kryształowa gaśta. Kiedy ją podniosłem, strumień światła bluznął mi na ręce. Odwróciłem się do okna i okręciłem ją raz i drugi. Na ciemnoszarych ścianach zatrzepotało srebro, a Wiktor skrzyknął podłogę. Postawiłem ją na stole i powoli otworzyłem teczkę.

– Edek, co ty? – zapytał zaniepokojony Wiktor.

– A nic. Podoba mi się ta waza, więc ją zabieram.

– Ależ ona jest zrehabilitowana, daj spokój – niepokoił się Wiktor.

– Kto? Waza?

– Nie żartuj. Gospodyni, przecież jej mąż był powstańcem.

– Wiesz, Wiktor, nie bądź głupi. Oni teraz wszyscy zrehabilitowani, szwaby, psia ich krew. Zresztą nic jej to nie zaszkodzi.

Wsadziłem wazę do swojej zniszczonej teczki. Zamki nie dały się dopiąć.

– No, możemy już iść – powiedziałem.

Wiktor śmiał się znowu i pogwizdywał z cicha.

W przedpokoju czekała gospodyni.

– Do widzenia, do widzenia – kłaniała się grzecznie – ja prosza panów, ja bedom drugi raz, to też u mnie nocować.

– Dobrze, dobrze, gosposiu – powiedziałem protekcjonalnie.

Na schodach zaśmieliśmy się obaj radośnie.

– Ale baba będzie miała minę, jak zobaczy, że nie ma wazy – śmiałem się, szukając rękę poręczy. Schody skrzypiały przyjaźnie, a przez malutkie okienko cedziło się niebieskawo światło na zjedzoną przez zacieki ścianę klatki schodowej.

Ulicą zśliśmy szybko, ocierając się o grube cienie drzew. Teczkę niosłem ostrożnie, omijając kałuże. Gdzieś huczała syrena fabryczna – niepotrzebna muzyka.

Wiktor przystanął i zapalił papierosa, potem trącił mnie radośnie w ramię.

– Uwważaj, bo mi wazę stłuczysz – ofuknąłem go przyjaźnie.

W pogodny jesienny popołudnie można twierdzić, że nieba nie ma. Szczególnie w szybko jadącym aucie, jeśli się długo wpatrzyć w bezbarwny bezkres, łatwo można osiągnąć wrażenie podróży międzyplanetarnej. Tylko pracowite słońce umie trochę rozgrzać strzępiastą linię horyzontu żółtawym ciepłym wczesnym wieczorem. Rzadkie podeszczowe zalewy lśnią kontemplacyjnie, a motor huczy z wysiłku na długich wzniesieniach szosy.

Ulokowałem się umyślnie na platformie auta, z której Mietek usunął brezent. Skrzynie z łozyskami kulkowymi podskakiwały czasem i skrzypiały rzewnie, a ja ochraniałem rękami moją teczkę ze zdobyczną wazą. Wiktor jechał w szoferce z Mietkiem.

Mietek nie podobał mi się od początku.

Mrużyłem oczy do niebieskich domków, a wyptowiąte wrony przecinały nam drogę, wrzeszcząc przeraźliwie i smutno. Obwisłe druty telefoniczne opadały wraz z żółkniejącymi drzewami w dół, a potem wspaniały się w górę, usiłując osiągnąć wierzchołków zmurszałych słupów. Było cicho i zdawało mi się, że mknął motor. Koła tylko szeleściły mokro o asfalt, a ja obliczałem pobieżnie ewentualne zyski z tej wyprawy. Liczyć lubiłem przy większym oddechu. Dlatego zrezygnowałem z szoferki.

Mijaliśmy miasteczka, gdzie wśród przywalonych gruzem uliczek drogę nam wskazywały żółto-czarne, jeszcze niemieckie tablice orientacyjne i nowe, ledwo oheblowane, z niewprawnie olejną farbą wymalowanymi napisami: „Na Warszawę”. Rzadko z którego komina sączył się cienki dymek, dowód zamieszkania opustoszałych domów. W rowach przydrożnych leżały popalone auta czerniejące bezbronnymi brzuchami.

Nie chciało mi się liczyć, bo parę kieliszków strzemiennego nastrojało mnie sentymentalnie i dlatego pozwalałem sobie na romantyczne obserwacje. A Mietek zasiadł do kierownicy z dobrym szmerem w głowie. Widać to było zresztą po szybkości, z jaką jechaliśmy. Rzadcy przechodnie przystawali i długo patrzyli za nami.

Po kilkudziesięciu kilometrach mieliśmy małą emocję. Drogę zagroził nam pasiasty szlaban. Żołnierz czerwoną chorągiewką polecił stanąć. Przystanęliśmy na skraju szosy, nie gasząc motoru.

Żołnierz podszedł do szoferki. Wiktor czekał nań już z uśmiechem i dobrym amerykańskim papierosem. Żołnierz też się uśmiechnął przyjaźnie.

– Proszę rozkaz jazdy – powiedział.

Wiktor wyciągnął z nowego, czarnego portfela podrobiony przeze mnie rozkaz jazdy. Zaniepokoilem się.

Ale żołnierz już przypalał Wiktorowego papierosa, a potem podniósł niedbale do oczu dokument. Szukałam w jego twarzy wyroku. Patrzył chwilę, tyle, ile trzeba na oglądnięcie podpisów i pieczęci. Potem złożył papier we czworo, tak jak poprzednio było złożone, i podał Wiktorowi.

– A w aucie nic nie przewozicie? – spytał.

– Ale coś znowu, panie komendancie – meldował raźnie Wiktor – jedzie tam tylko nasz urzędnik, który lubi świeże powietrze – pokazał na mnie, a ja uśmiechnąłem się kokieteryjnie.

– Dziękuję – zsalutował żołnierz i podniósł szlaban.

Ruszyliśmy naprzód, do domu, do Łodzi, a żołnierz patrzył za nami długo w dymie amerykańskiego camela.

W domu czeka Józefa. Znow będzie głądzić: – Edziu, ja nie chcę, żebyś jeździł, znajdź jakąś pracę. A teściowa z nastroszonymi papilotami zacznie trzaskać drzwiami. Że też się nie mogę z tego wygrzebać...

Nieobsiane pola szybko uciekają do tyłu, a tylko czerwone słońce towarzyszy nam, orząc ciemniejące wierzchołki drzew.

Czy aby na drogę nie za dużo wypiliśmy?

Zaraz będzie mrok. Jeszcze ze trzy godziny jazdy.

Dlaczego tak kołyszę? Trzeba uważać na skrzynie, bo zbyt niebezpiecznie skaczą. Gdzie mam teczkę? Aha, przecież na kolanach! Ale szwabka będzie miała minę...

Zaśmiałem się.

Przymknąłem oczy.

Otrzeźwił mnie kwik hamulców i uderzyłem głową o blaszaną ramę. Instynktownie przygarnąłem teczkę pod siebie. Skrzynie posunęły się z hurkotem na mnie.

Staliśmy na środku drogi.

Trzasnęły drzwiczki szoferki. Nad burtą auta zobaczyłem głowy Wiktora i Mietka.

– O Jezus – jęczał Mietek.

– Co się stało? – spytałem przytomnie.

Wiktor wyciągnął rękę w kierunku, skąd przyjechaliśmy. Odwróciłem się i zobaczyłem w lekkim mroku o jakieś pięćdziesiąt metrów za nami czarny kształt. Zeskoczyłem, milcząc, z auta. Nogi mi zdrętwiały. Teczkę przełożyłem pod lewe ramię.

To był mężczyzna. Leżał na boku, a z nosa sączyła mu się krew na czarne utyłane w błocie palto. Nie jęczał. Usłyszałem kroki. To nadchodził Mietek z Wiktorem.

– Przejechałeś go, skurwysynie – powiedziałem do Mietka, a on zajęczał:

– O Boże.

– Mówiłem, żebyście nie pili – wtrącił się Wiktor.

Popatrzyłem na niego i umilkł.

Staliśmy, milcząc.

– Ojej – stęknął Mietek.

Idiota.

Postawiłem teczkę na asfalcie i przyklęknąłem nad leżącym. Żył. Wsunąłem mu rękę pod płaszcz i marynarkę. Było ciepło. Namacałem dokumenty. I pelikana. Pióro było ładne, odkręciłem i zachód zagrał ciepło na złotej stalówce.

– Edek – prosząco powiedział Wiktor.

– Nie kwęcz – mruknąłem.

Schowałem pióro do kieszeni i wyciągnąłem dokumenty. Papiery, legitymacje. Urzędnik kolejowy. Rzuciłem dokumenty. Rozsypały się białymi plamami dokoła leżącego.

– Trzeba go ratować. Weźmy go do maszyny i szybko do doktora – zaczął się gorączkować Mietek.

– Milcz, gówniarzu, chcesz, żebyśmy zgnili w kryminale. Z towarem pojedziemy może do milicji? – wściekłem się.

– Weźmiemy go – upierał się Mietek. – O Boże!...

– Marsz, skurwysynie, do auta – pchnąłem. Wiktor milczał.

Ukląkłem jeszcze raz i poszukałem ręki. Odsunąłem rękaw i poczułem owłosione ramię.

– Nie ma zegarka. Zastrany urzędnik.

Postrzęzione nogawice portek mokły w gęstym błocie.

– Mietek, jedziemy – powiedziałem. – Znajdzie go ktoś, nie bój się, szlag go nie trafi.

Ująłem Mietka za trzęsącą się rękę i zaprowadziłem do auta. Zawsze nie podobał mi się ten gówniarz.

Wiktor też wsiadł do szoferki. Wepchnąłem Mietka za kierownicę, a potem wlałem sam na platformę. Ułożyłem na kolanach teczkę. Mietek nie zapalał motoru.

– Ruszysz się, ty draniu, czy nie? – krzyknąłem. – Chcesz, żeby nas tu nakryli?

Motor zakrzuszył się i zaczął pracować równo. Ruszyliśmy. Cień na drodze rozplynął się w brudnym asfalcie. Podniosłem rękę do twarzy i poczułem zapach krwi.

– Psiakrew! – zakląłem.

Wytarłem palec o chropowatą skrzynię, a potem o teczkę z kryształową wazą. Wsadziłem rękę do kieszeni i poczułem w palcach pióro. Wyjąłem je. W świetle wąskiego pasma światła na zachodzie oglądałem je jeszcze raz. – Skąd on mógł mieć takie ładne pióro?

Parliśmy naprzód. Mietek zapalił reflektory i z gęstniejącej czerni wyjmowaliśmy grube pnie drzew i mokrą wstęgę szosy.

– Diabli nadali jeszcze tę historię – mruknąłem – całe szczęście, że nikt nie widział.

Jedna z rozbitych świeżo gwiazd spłynęła po fioletowym niebie.

– Czyżby już się facet skończył? – zaśmiałem się z przesądu.

Gdzieś pohukiwały lokomotywy.

– Niech żyją pieniądze – krzyknąłem wesoło, podnosząc kieliszek z resztką wódki. Wlałem jego zawartość w gardło i strzyknąłem śliną na podłogę.

Mietek chichotał, rozmazując rozlaną wódkę po stole. Skrupulatni nabywcy naszych łożysk kulkowych już się ulotnili, a została po nich miła pulchność naszych portfeli. Mieli jeszcze dziś przenieść skrzynie do swoich składów.

Postawiłem kieliszek mocno na stole. Odejmując rękę, zawadziłem palcami i szkło rozprysło się bezgłośnie na podłodze.

– Edek, daj spokój – śmiał się z przykrością Wiktor.

Ujął mnie pod ramię, ale odepchnąłem go zaraz.

Było mi dobrze, tylko nogi ugiwały się w kolanach.

Poklepałem Mietka po głowie:

– Frajerze ciężki, ja przez trzy lata zabijałem – a on zaczął chlipać.

Podszedłem do wieszaka i zacząłem szukać kapelusza. Nigdy przy wódce nie traciłem świadomości. Oparłem się głową o płaszcze i było mi dobrze. Wiktor wyciągnął mnie jednak stamtąd i wcisnął w palto. Sam nałożyłem kapelusz.

– Good bye – powiedziałem niefrasobliwie, podnosząc dwa palce do góry.

– A uważaj po drodze, masz tyle pieniędzy – przestrzegł Wiktor. Wziąłem z tapczanu teczkę z kryształową wazą.

– Nie obawiaj się – wyprostowałem się urażony, ale musiałem zaraz poszukać ręką ściany.

Chciałem jeszcze coś krótko zreferować, jednak zemdlilo mnie raptownie i, głośno tykając śliną, wywaliłem się przez drzwi.

Po schodach schodziłem po omacku. Rzygałem, nie przystając i nie martwiąc się o nowe brązowe palto. Wymiociny ściekały mi przez palce do teczki z kryształową wazą. – U Wiktora było za gorąco – myślałem tylko i objąłem głowę o niewidoczne ściany. Na ulicy było chłodniej i lepiej. Przystanęm przy załomie muru i charkotałem nękania kurczami żołądka. Kapeluszem startem ciężliwą, gęstą ślinę z brody. – Gdyby mnie tak zobaczyła Józefa... – pomyślałem przytomnie.

Na białym sznurze telefonicznym dyndał nade mną świeży księżyc. Szedłem długo, zataczając się, aż kiedyś przystanęm przy jakimś słupie. Głowa długo nie mogła znaleźć oparcia, a ja nie miałem sił dopomóc jej.

Stałem chyba długo.

Ktoś potem coś mówił.

Jakieś ręce wyciągały mi portfel.

Podniosłem głowę. To był milicjant. Wyprostowałem się szybko i poczułem nagłe gorąco. Zupełnie młody jeszcze chłopak. Szukał dowodu osobistego, a ja nie mogłem wymówić słowa. Coś mu wypadło i rozsypało się.

Podniósł i gwizdnął przeciągle. Dużo dolarów. Ach, teściowa zawsze mówiła, żebym ze sobą nie nosił, żebym trzymał w mieszkaniu. Ona miała w tym zresztą swój interes.

Chciałem zabrać głos.

– Panie kolego – powiedziałem, jękając się. A młody milicjant ujął mnie pod ramię. Zatoczyłem się, pociągając go za sobą.

Ale byłem już prawie trzeźwy.

– Panie, weź pan parę papierków i daj mi spokój – usiłowałem zbagatelizować sprawę. I mocniej zwałem się na niego, licząc, że nie będzie mu się chciało wodzić z pijakiem.

Ale on prowadził mnie ze sobą. Przypomniałam sobie, że mam jeszcze pieniądze za towar. I papiery. Papiery sfalszowane przeze mnie: rozkaz jazdy na auto, upoważnienie i inne. Zrobiło mi się nieswojo.

Milicjant wiódł mnie troskliwie.

Pod pachą mam nieszczęsną teczkę. Poszukałem kieszeni. Aha, pelikan. Wysunęłem rękę i zatoczywszy się, opuściłem pióro na ziemię. Zadzwonilo okuciem o chodnik, ale młody milicjant nie dosłyszał.

Było pusto.

Księżyc już nie dyndał. Po prostu świecił. Przeraziłwie świecił.

– Tak głupio wpaść – pomyślałem z przykrością.

– Tak głupio wpaść.



Hana Puchová, z serii *Princezny (Księżniczki)*, akryl na płycie pilśniowej, 70x25 cm, 2002